

JAN KOBUSZEWSKI

Bardzo długo się wahałem, czy poradzę sobie w kabarecie. Kiedy wchodziłem pierwszy raz na estradę Kabaretu Dudek, miałem wrażenie, że ludzie są przeciwko mnie. Myślałem sobie, co ten idiota robi na scenie kabaretowej, jego miejsce jest w teatrze dramatycznym.

POCZUCIE HUMORU MAM PO OJCU

🐦: Od lat jest pan uważany za mistrza komedii. Prawie cztery dekady każdym pojawieniem się na scenie Teatru Kwadratu wprowadzał pan publiczność w pogodny humor. Aż trudno uwierzyć, że wcześniej był pan wziętym aktorem dramatycznym.

Rzeczywiście, zarówno na scenie Teatru Polskiego pod koniec lat 50., jak i potem w Teatrze Narodowym za dykcji Kazimierza Dejmka byłem aktorem na wskroś dramatycznym. U Wandy Laskowskiej grałem Jana Macieja Karola Wścieklicę, dwukrotnie wystąpiłem w „Dziadach”, zagrałem w „Kurce wodnej”, „Braciach Karamazow”, w „Oto jest głowa zdrajcy”. To z pewnością nie były role komediowe. W Narodowym właściwie poza „Kramem z piosenkami” też grałem głównie postacie dramatyczne. Pamiętam, jak Andrzej Szczepkowski i Gustaw Holoubek, mając w pamięci tamten mój dorobek, wielokrotnie wypominali mi w prywatnych rozmowach, że poszedłem tylko w komedię. Ale myślę, że nie była to do końca moja wina. Tak się potoczyło życie...

Można powiedzieć, że to przygoda z „Dziadami” Kazimierza Dejmka bardzo mocno zaważyła na pańskiej karierze?

Myślę, że można to tak określić. Okres w Teatrze Narodowym, kiedy dyrektorował tam Kazimierz Dejmek, był bardzo szczęśliwy w moim zawodowym życiu. Grałem wtedy dużo znaczących i ważnych ról. Nie tylko w reżyserii Dejmka, ale innych wielkich reżyserów. Potem to się wszystko załamało.

Po wyrzuceniu Dejmka z Narodowego spora część zespołu w geście solidarności postanowiła odejść razem z nim. Władza jednak zabroniła pozostałym dyrekcjom teatrów warszawskich was zatrudnić na etatach.

To był bardzo trudny okres. Dejmek był nie tylko świetnym reżyserem, ale też bardzo dobrym dyrektorem. Dbał o aktorów i teatr jako instytucję. Był chodzącą encyklopedią, nie tylko niesłuchanie światłym, ale też prawym człowiekiem. Odejście wraz z nim z Narodowego wydawało się więc nam czymś naturalnym.

I wtedy spotkało pana gorzkie doświadczenie.

Tym bardziej gorzkie, że szukając pracy, dzwoniłem do dyrektorów stołecznych scen, których uważałem wcześniej co najmniej za dobrych znajomych. Na początku się zgadzali, a potem, kilka dni przed umówionym spotkaniem przeproszali, że jednak nie mogą mi pomóc. Byliśmy po prostu na „czarnej liście”. Wtedy rękę podał mi August Kowalczyk, dzięki któremu wróciłem na krótko do Teatru Polskiego.

Zachwycił mnie pan wtedy, podobnie jak większość dziecięcej widowni, rolą Księcia Pana w „Rumcajsie”. A potem przeszedł pan do Teatru Kwadrat.

Po odejściu z Teatru Polskiego spędziłem jeszcze sezon w Łodzi, gdy Dejmek objął dykcję w Teatrze Nowym. Tam zagrałem m. in. Nieznajomego

w „Garbusie” Mrożka, czyli znów rolę na wskroś dramatyczną. Dopiero kiedy miałem wrócić do Polskiego, ale rozmowy nie zakończyły się pomyślnie, zdecydowałem się pójść do teatru mojego przyjaciela Dudka Dziewońskiego, czyli do Kwadratu i spędziłem trzydzieści parę lat na tej niewielkiej scenie.

Szybko stał się pan tam gwiazdą. Obserwowałem wielokrotnie, że już samo pana pojawienie się na scenie wywoływało brawa i uśmiech widzów. Rzadko się zdarza takie przyjęcie.

Może niezasłużone, ale dziękuję za to widzom.

Była jakaś rola z repertuaru dramatycznego, o zagranii której szczególnie pan marzył?

Bardzo długo marzyłem o Cyranie de Bergerac. Postać charakterystyczna, z duszą romantyczną. Bardzo ją lubiłem i kiedy byłem sprawny fizycznie, miałem nadzieję, że byłbym w stanie się z nią zmierzyć.

Tę rolę mógłby pan spokojnie zagrać, będąc już w Kwadracie...

Myślę, że tak, bo jedyna rzecz na moje usprawiedliwienie, jeśli idzie o role komediowe, jest taka, że starałem się wybierać je bardzo skrupulatnie, aby w każdej z nich było coś do przemyślenia – w „Złodzieju”, „Czy zna pan mleczną drogę” z Dudkiem Dziewońskim i wielu innych. Trudno mi już nawet zliczyć, ile ról tam zagrałem, ale uważam Teatr Kwadrat za mój teatr macierzysty. Tam grał i Gajos, i Zborowski, i Seniuk, i Łapicki, i Wawrzecki, i wielu aktorów z innych teatrów, którzy znaleźli jakąś przystań w Kwadracie u Edwarda Dziewońskiego, a potem Edmunda Karwańskiego, a teraz Andrzeja Nejmana.

I tym trudniej było widzom Kwadratu zrozumieć, że zdecydował się pan zakończyć karierę sceniczną i pójść na emeryturę.

To nie była łatwa decyzja, ale powiem, że zdecydowałem się na nią z szacunku do siebie i do widzów. Dyrektor Andrzej Nejman i koledzy z zespołu podkreślają, że do Kwadratu zawsze mam szansę powrotu, ale wiem, że czas jest nieubłagany. Sił coraz mniej.

A jak poprzez doświadczenie z Kwadratem ocenia pan poczucie humoru Polaków?

Bardzo trudne pytanie, a jednocześnie bardzo szeroki temat. Kiedy przygotowujemy premierę spektaklu, to nigdy tak naprawdę nie mamy pewności, jaka będzie reakcja widzów. Bywało, że tam, gdzie spodziewaliśmy się ciszy, następowały huragany śmiechu. Kwadrat miał zawsze tę specyfikę, że ludzie przychodzili i przychodzą tu dla odprężenia. Chcieli odreagować sprawy, które serwowała im rzeczywistość, dramaty, które przeżywali na co dzień w rozmaitych czasach. Tu było trochę tej wolności i uśmiechu, którego łaknęli jak kania dżdzu. Przychodzili do teatru po uśmiech. I wśród tej

naszej publiczności wyczuwałem duże poczucie humoru.

Oazą wolności był też z pewnością Kabaret Dudek. W czym tkwił pana zdaniem jego fenomen?

Niektórzy widzieli w nim nawiązanie do najlepszych tradycji przedwojennego Qui Pro Quo czy wcześniejszego Zielonego Balonika. Myślę, że coś w tym jest. Edward Dziewoński doskonale potrafił dobrać zarówno aktorów, jak i autorów tekstów. W Dudku było mało polityki, za to sporo bardzo trafnych obserwacji obyczajowych. Wiele z nich okazuje się aktualnych w każdej epoce. I myślę, że w tym tkwiła siła Dudka.

Szybko stał się pan jednym z filarów Kabaretu Dudek. Dziś trudno uwierzyć, że ponoć bardzo się pan wahał, czy w nim wystąpić.

Proszę mi wierzyć, że bardzo długo się wahałem, czy poradzę sobie w kabarecie. Wcześniej nie miałem z nim nic wspólnego. Kiedy wchodziłem pierwszy raz na estradę, miałem wrażenie, że ludzie są przeciwko mnie. Myślałem sobie, co ten idiota tu robi na scenie kabaretowej, przecież jego miejsce jest w teatrze dramatycznym.

A jak trafił pan do Dudka?

Zaprotegował mnie Wiesio Michnikowski, o którym mogę powiedzieć: „mój przyjaciel do końca”. To on był ten spiritus movens. Szybko się okazało, że zarówno Irka Kwiatkowska, z którą miałem szczęście być po imieniu, jak i wszyscy koledzy z kabaretu Dudek, stworzyliśmy grupę, która lubiła ze sobą przebywać. I dzięki temu, mimo że robiliśmy ten kabaret po godzinach, nie traktowaliśmy Dudka jak katorżniczej pracy. Wręcz odwrotnie. Szliśmy tam z radością, że się spotkamy z Gołasem, Michnikowskim, Dziewońskim, a także z tymi, którzy występowali u nas incydentalnie, jak Pokora, Kobiela, Sławek Gliński czy Jaś Kociniak.

Robiliście sobie jakieś dowcipy?

Bardzo często było to spontaniczne. Ponieważ się lubiliśmy, wiedzieliśmy, że nikt się nie obrazi i czego można się po nim spodziewać. Mistrzem robienia dowcipów był oczywiście Wiesio Michnikowski. Razem byliśmy tylko w kabarecie i krótko w Teatrze Polskim, potem serdecznie namawiałem go do Teatru Kwadrat, ale już było za późno. Byliśmy za starzy, nie dało rady. Wiele wspólnych lat spędziliśmy za to w Dudku i na tzw. koncertach po Polsce.

Ci, którzy wspominają pana w Kabarecie Dudek, przypisują też panu udział w Kabarecie Starszych Panów. A tu, o dziwo, pana nie było...

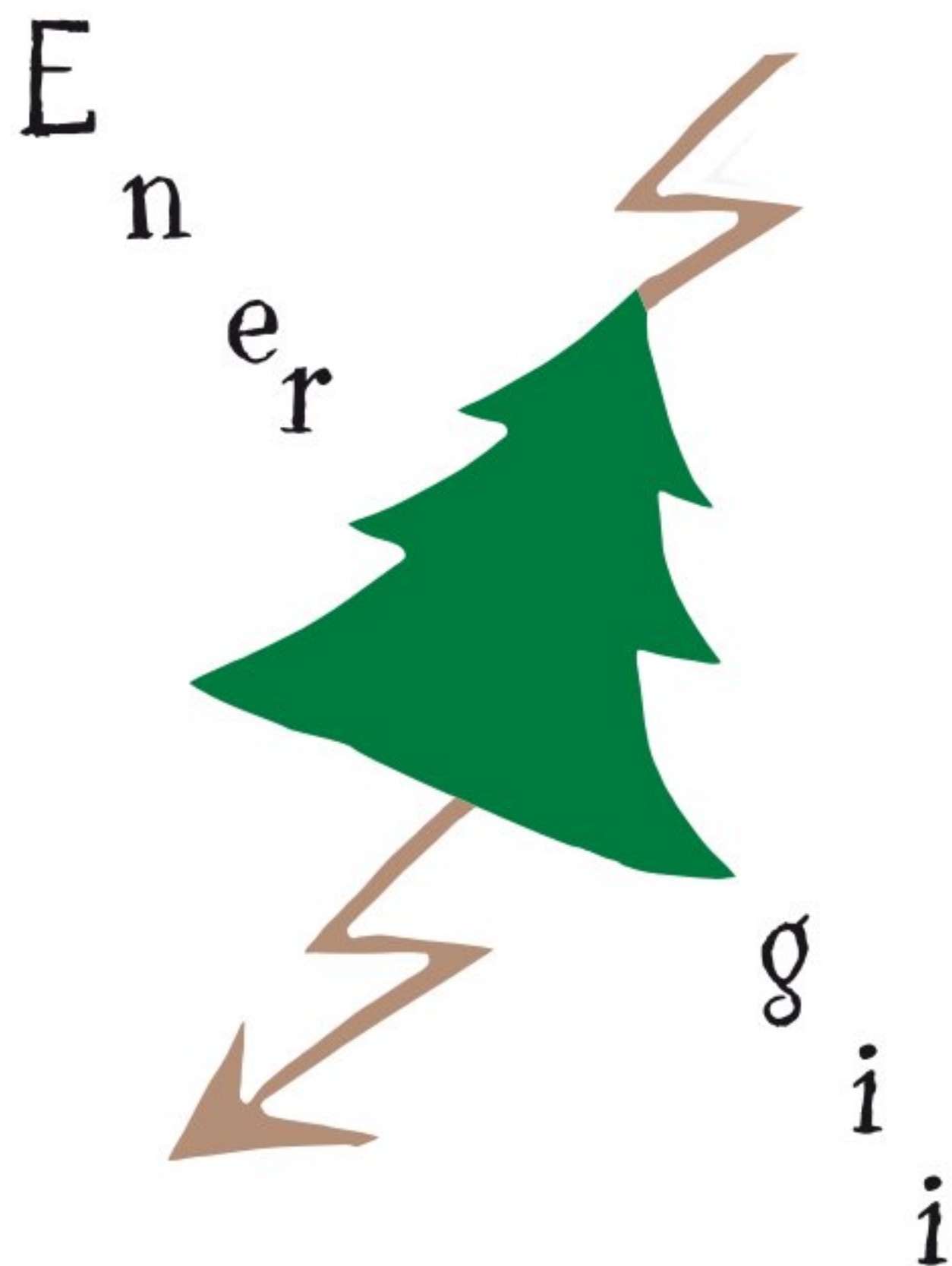
Nie, wystąpiłem dopiero w programie Divertimento. To był okres późniejszy.

Jeremi Przybora pytany o pana nieobecność w Kabarecie Starszych Panów powiedział mi, że właściwie nie wie, jak do tego doszło, a właściwie nie doszło.

Teraz już nie rozsądzimy, dlaczego tak się stało. Nie wiem. Nie mam żalu, tym bardziej że obsada Kabaretu Starszych Panów była wyśmienita.

Gustaw Holoubek wspominał, że dobierając zespół, warto kierować się nie tylko klasą aktorów, ale też tym, czy dobrze będą się czuli razem w bufecie. Też pan tak uważa?

To jest racja. Wzajemne zaufanie i sympatia ułatwiają obcowanie na próbach. Kilkakrotnie się zdarzało, że na przykład nie odpowiadał mi reżyser. I użeranie się z nim





MACIEJ KŁOS

powodowało, że premiera wisiała na włosku. Jak człowiek się cieszy zaufaniem wśród kolegów, łatwiej mu przekonać reżysera do swoich racji, do założeń, które można wprowadzić z korzyścią dla spektaklu. Tak mi się pracowało z Wandą Laskowską, Kazimierzem Dejmkiem, Dudkiem Dziewońskim i z wieloma innymi reżyserami.

Tak jak w teatrze kojarzy się pan z Kazimierzem Dejmkiem i Edwardem Dziewońskim, tak w filmie ze Stanisławem Bareją.

Ze Staszkiem poznaliśmy się, polubiliśmy i zaprzyjaźniliśmy na plenerze w Łagowie, kiedy on był jeszcze w szkole filmowej, a ja na drugim roku w teatralnej. Szybko znaleźliśmy wspólny język. Dużo rozmawialiśmy na temat współpracy. Niestety, kiedy Staszek był u szczytu swych produkcji filmowych, ja grałem nieomal codziennie w teatrze. Gdy więc proponował mi większe role, mówiłem: „Stasiu, po starej przyjaźni zagram z przyjemnością, ale tylko jeden, dwa dni zdjęciowe. Na więcej nie mogę sobie pozwolić, bo żaden dyrektor mnie nie wypuści”. I zgodnie z umową w każdym jego filmie miałem mały epizodzik. On zresztą też. Myślę, że skala aktorstwa wyraża się również w epizodach, to nie sztuka przykuć uwagę widzów, gdy gra się główną rolę i niemal nie schodzi z ekranu.

Pamiętam, jak w jednym z odcinków „Czterdziestolatka” Jerzego Gruzy zagrał pan człowieka po przejściach – byłego lekkoatletę, który po latach sukcesów popadł w alkoholizm i zmarnował sobie karierę. Poruszające i tragikomiczne.

Moim idolem – jeśli chodzi o aktorstwo – był kolejny serdeczny przyjaciel, Tadeusz Fijewski. W każdej jego roli komediowej było nieco tragedii, a w tragicznej nieco komedii. Tak zresztą mój profesor i dyrektor – tak go nazywaliśmy, choć był rektorem – czyli Aleksander Zelwerowicz mówił: „Życie nigdy nie jest ani czarne,

ani białe”. Dlatego wśród ról, które proponowano mi w Teatrze Kwadrat, wybierałem te, w których miałem coś do powiedzenia nie tylko wesołego, ale też poważniejszego, refleksyjnego, bo takie jest życie. I tak prywatnie, po cichutku jestem z tego dumny, że to nie była płaska komedia, lecz że przemyślało się w niej sprawy poważniejsze, głębsze.

A jak wspomina pan udział w pierwszym polskim serialu telewizyjnym „Barbara i Jan” w 1964 r., w którym zagrał pan fotoreportera Jana Buszewskiego?

Cóż, mówi się, że początki zwykle bywają trudne i zapewne ten serial nie był specjalnie udany, ale wspominam go z sentymentem, warto przy okazji dodać, że jednym z jego scenarzystów był Staszek Bareja.

Aż trudno uwierzyć, że w filmie to była właściwie pana jedyna główna rola. Słyszałem, że na przykład nie dał się pan namówić na rolę Pana Kleksa?

Istotnie, reżyser bardzo mnie namawiał, ale jednak się nie zdecydowałem. I bardzo cieszę się, że przyjął tę propozycję Piotr Fronczewski. Zagrał świetnie.

Zdecydowanie lepiej było z tymi głównymi rolami w telewizji. Wystarczy przypomnieć „Wielokropek” czy kultowe, jakbyśmy dziś powiedzieli, „Dobranocki dla dorosłych”, których był pan gospodarzem.

Myślę, że fenomen „Dobranocka” tkwił w inteligentnym scenariuszu i mądrych morałach, które uważam, że i dziś nic nie straciły z aktualności. Nie wiem, czy przypomina sobie pan naszą bajkę o Janosiku? Otóż wszedł on do gospody i pyta, czy są tu biedni ludzie. Kiedy się zgłosili, zażądał od pozostałych, czyli bogatych, by oddali im pieniądze. Wtedy role się odmieniły i tamci dawni bogaci, mając poczucie niesprawiedliwości, zaczęli protestować.

Eksperyment nie wypalił, obie strony uznały, że nigdy nie będzie sprawiedliwie. Janosik się zdenerwował i poszedł sobie. Morał: do rozwiązania problemów ekonomicznych nie wystarczą dobre chęci, niezbędne jest też solidne przygotowanie fachowe.

Wężykiem, wężykiem. Reżyserzy, mówiąc o panu, zawsze podkreślają, że należy pan do tej elitarniej grupy artystów, którzy uważają ten zawód za rodzaj misji.

Proszę mi nie przewracać w głowie na stare lata, ale uważam ten zawód za posłannictwo. Być może nie do końca to sobie uświadamiałem, ale to sprawa wychowania, sprawa rodziny, przyjaźni, to wreszcie sprawa profesorów w szkole teatralnej. Wiele czynników się na to składa, że nie traktowałem aktorstwa wyłącznie jako sposobu zarabiania pieniędzy. I tu mała dygresja: myśmy w teatrze byli biedakami, nasze pensje były żenująco niskie. Właściwie dzięki temu, że pracowałem w telewizji i kabarecie, mogłem utrzymać rodzinę, bo z teatru człowiek by nie wyżył i to, co pan nazywa posłannictwem, w jakimś sensie było chyba prawdą. W teatrze zarabialiśmy nic, ale nie wyobrażaliśmy sobie życia bez niego. Był dla nas przedłużeniem szkoły aktorskiej. Tu zdobywaliśmy doświadczenia teatralne i życiowe. Uważaliśmy, że nie telewizja, nie film, nie kabaret, ale właśnie teatr jest podstawą naszego zawodu. Pamiętam, jak będąc młodym aktorem, po zejściu ze sceny potrafiłem wyżyć z koszuli pół litra potu.

Zawsze niezwykle starannie przygotowywał się pan do roli. A przypomina pan sobie, czy miał na scenie okropne poczucie pustki?

O, tak. Na początku lat 70. w „Uczniu diabła” George’a Bernarda Shawa zagrałem generała Burgoyne, który

w trzecim akcie prowadzi śledztwo. Mimo że na premierę tekst miałem wykuty na blachę, podczas jednego z późniejszych spektakli, kiedy wszedłem na scenę, zrobiła mi się w głowie kompletna pustka. Pamiętam, że zwróciłem się wtedy do majora granego przez Janusza Zakrzeńskiego: proszę prowadzić śledztwo za mnie. Janusz zaczął więc mówić moimi słowami i wtedy zaskoczyłem i wszedłem w rolę. I sam śledztwo doprowadziłem do końca.

Nie żałuje pan, że córka nie poszła w pana ślady?

Taki był jej wybór, wybrała konserwację dzieł sztuki na ASP i dziś jest cenionym konserwatorem w prestiżowym muzeum.

Tradycje rodzinne kontynuuje na szczęście siostrzeniec Wiktor Zborowski.

Od dziecka ciągnęło go do sportu, więc myśleliśmy, że będzie sportowcem. Ale często, gdy był dzieckiem, zabierałem go do teatru. Kiedy Maria Wiercińska, realizując „Rewolwer” Aleksandra Fredry, poszukiwała do obsady dwóch kilkunastoletnich łobuziaków, zaproponowałem Wiktora i jego kolegę. Obaj się sprawdzili, z tym że drugi Waldemar Dynerman wybrał potem malarstwo i dziś jest utalentowanym plastykiem, a Wiktor zdecydował się na aktorstwo. I dostał się do szkoły już za pierwszym podejściem. Potem stworzył własny klan aktorski, żeniąc z Marią Winiarską, a ich córka Zosia również poszła w ślady rodziców.

Kilka lat temu na Jasnej Górze wraz z żoną Hanną Zembruską świętował pan 50-lecie małżeństwa. To rzadkie w waszym zawodzie.

Poznaliśmy się jeszcze w szkole teatralnej. Ja byłem na drugim roku, Hania na pierwszym. Już wtedy zwróciłem na nią uwagę. Rzeczywiście przeżyliśmy ze sobą teraz już ponad pół wieku.

Jest na to jakaś recepta?

Hania pytana o receptę na udany związek odpowiedziała, że oprócz miłości ważna jest też tolerancja i cierpliwość. Ja dodałem, że ważne są też dzieci, bo one spajają każde małżeństwo, a potem wnuki, które już można bezkarnie rozpieszczać. Przeżyliśmy wiele pięknych chwil i szybko przekonaaliśmy się, że jesteśmy jak papużki nierozłączki. Kiedy jednemu coś dolega, drugie staje się nie do życia. Stąd właśnie byliśmy i jesteśmy dla siebie wielkim wsparciem, zwłaszcza w trudnych chwilach, takich jak choroba.

W takich trudnych chwilach pomaga też wiara...

Nawet bardzo. Jestem człowiekiem wierzącym. I mam świadomość, że ktoś nade mną czuwa. Zawsze wspominam słowa mamy: „Pamiętaj, modlę się o bojaźń boską i przyjaźń ludzką dla ciebie”.

Skoro mówimy o sile wiary, to podobno pański dziadek Mikołaj Kobuszewski wybudował drewniany kościół na cmentarzu Bródnowskim.

Był nawet jednym z fundatorów tego cmentarza. Kościół zaś wybudował z sosnowego drewna żywicznego pochodzącego z rusztowań używanych przy budowie dawnego mostu Aleksandryjskiego, czyli mostu Kierbedzia. Ten drewniany kościół stoi do dziś.

Natomiast w miejscu, gdzie kiedyś stał pański dom, dziś stoi dom kultury. Mieszkańcy Bródna chcieli go nazwać pańskim imieniem.

Odrzuciłem tę propozycję. Jak pan widzi, jestem warszawiakiem z dziada pradziada. Istotnie urodziłem się na Bródnie, ale mieszkałem tam z rodzicami tylko rok rzeczywiście w miejscu dzisiejszego Domu Kultury. Później przenieśliśmy się do Śródmieścia i zamieszkaliśmy w miejscu, gdzie potem postawiono Pałac Kultury.

Stąd właśnie moja żona żartuje, że jestem człowiekiem mocno związanym z warszawską kulturą.

Powiedział pan, że pochodzi z pogodnej rodziny.

Tak. Rodzice także w tej dziedzinie świetnie się uzupełniali. Tata miał wielkie poczucie humoru, lubił robić żarty. Mama była raczej zasadnicza, więc tato uwielbiał ją rozśmieszać. Warto dodać, że nigdy nie dochodziło między nimi do kłótni. Najwyżej do drobnych nieporozumień, które wyglądały jak niewinne przekomarzania się.

Czyli poczucie humoru odziedziczył pan po facie?

Niechęć do tańca też.

Łatwo pana rozśmieszyć?

Myślę, że wbrew pozorom wcale to nie było łatwe. Najbardziej cieszyły mnie niespodziewane, zaskakujące sytuacje.

Czytając książkę o pana rodzinie, miałem wrażenie, że panowała w niej i panuje jakaś szczególna więź...

To, co niektórym wydaje się dziwne, nam wydawało się zawsze czymś naturalnym. Moi rodzice, ciocia i siostry były dla mnie zawsze autorytetem. Siostry i ja byliśmy posłuszni woli ojca i matki. Ojciec dawał nam poczucie bezpieczeństwa, mama zaś otaczała wielką miłością. A nam dawało to siłę.

Tej siły wiary i siły miłości oraz wielu lat w zdrowiu życzymy sobie, zasiadając do wigilijnego stołu.

Również korzystając z okazji, pragnąłbym z całego serca złożyć Czytelnikom „Plusa Minusa” i całej „Rzeczpospolitej” radosnych świąt Bożego Narodzenia oraz zdrowego i spokojnego nowego roku. ©©

—rozmawiał Jan Bończa-Szabłowski